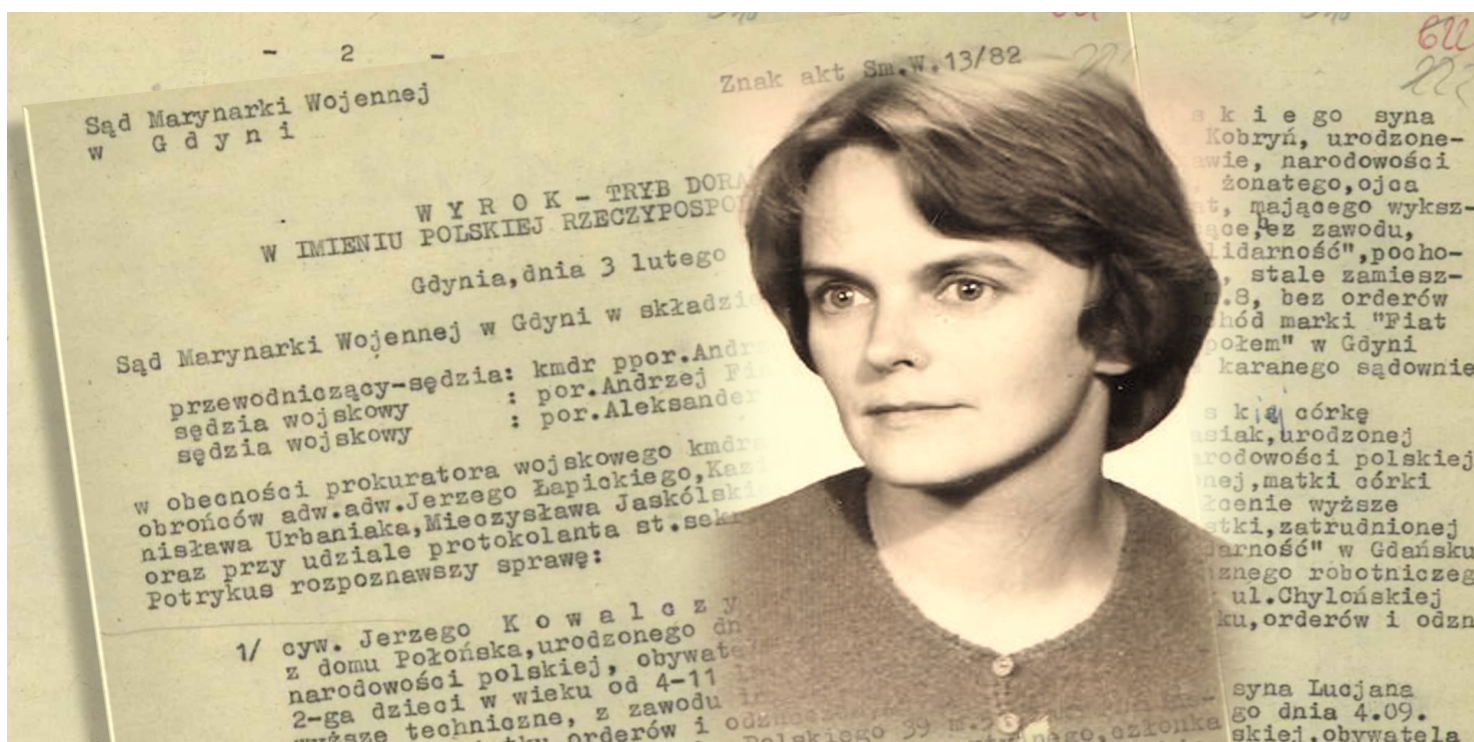


Przystanek historia

<https://przystanekhistoria.pl/pa2/tematy/stan-wojenny/60504,Najwyzszy-wyrok-stanu-wojennego.html>



WYWIAD

Najwyższy wyrok stanu wojennego

OKRES HISTORYCZNY

(1980-1990) Epoka Solidarności

Autor: EWA KUBASIEWICZ, MACIEJ KWAŚNIEWSKI

14.12.2019

Długie lata kierowała Działem Gromadzenia i Opracowania Zbiorów Biblioteki Głównej Wyższej Szkoły Morskiej w Gdyni. Zaangażowana w działalność niepodległościową, nazajutrz po wprowadzeniu stanu wojennego włączyła się w strajk okupacyjny w WSM. Tydzień później była już w komunistycznym

więzieniu. Z Ewą Kubasiewicz rozmawia Maciej Kwaśniewski.

Maciej Kwaśniewski: 20 grudnia 1981. Dobrze pamięta Pani ten dzień?

Ewa Kubasiewicz: Trudno mi go zapomnieć. Byłam wtedy w mieszkaniu mojej przyjaciółki, z którą pracowałyśmy w Wyższej Szkole Morskiej, Jolanty Wilguckiej, będącej również członkiem „Solidarności” w naszej uczelni. Ukrywałam się u niej, bo Służba Bezpieczeństwa już mnie wówczas poszukiwała. Jola nie była całkowicie nieznana SB, ale wtedy jeszcze się nią nie interesowali i zdawało się, że spędzenie tam kilku godzin nie jest niebezpieczne. Umówiłam się u niej z Jerzym Trzcieskim, kolegą związkowym, który miał przyjechać samochodem, aby przewieźć mnie do innego mieszkania, gdzie byłabym w pełni bezpieczna. Tuż po tym, jak Jurek wszedł do mieszkania wpadła za nim esbecja i aresztowali wszystkich. Magdalenę Kowalską, Cezarego Godziuka, Jerzego Kowalczyka – przewodniczącego naszej komisji zakładowej, którego też poszukiwano, Wiesławę Kwiatkowską – znaną dziennikarkę, która zajmowała się historią wydarzeń Grudnia 1970 roku zbierając materiały i relacje z tamtych czasów. Wszystkich nas zabrano na komendę.

MK: Bała się Pani?

EK: Na pewno w jakiś sposób się bałam, ale to nie był strach dominujący i paraliżujący. Spodziewałam się zatrzymania i to nie było dla mnie zaskoczeniem. Działalność KZ „S” w WSM w Gdyni była bardzo krytykowana między innymi przez partyjną prasę. Na przykład „Głos Wybrzeża” pisał jeszcze przed stanem wojennym, że sprawą naszej Komisji powinna zająć się prokuratura. Byliśmy wyjątkową komisją, w wyjątkowej szkole, bo w uczelni o charakterze paramilitarnym mającej pewnie jakieś strategiczne znaczenie dla władz. Między innymi, stworzyliśmy pręźnie działające wydawnictwo historyczne, za które ja we władzach Komisji byłam odpowiedzialna. Byłam więc świadoma tego, że jeżeli dojdzie do jakiegoś siłowego przesilenia, mogę zostać aresztowana. Nawet pewnie trochę się bałam.



Ulice Gdańska w grudniu 1981 r.

Fot. AIPN

MK: Skąd decyzja o działaniu, działaniu, za które można było zapłacić najwyższą cenę? Zginęli już górnicy w kopalni Wujek.

EK: Odpowiedź jest prosta. Zdecydowałam się na współpracę z opozycją już znacznie wcześniej, pod koniec 1979 roku. Zwróciłam się do Joanny i Andrzeja Gwiazdów o możliwość współpracy z Wolnymi Związkami Zawodowymi. Byłam bardzo zdecydowana, aby pomóc w tej działalności. I w miarę moich skromnych możliwości wspomóc działania na rzecz obalenia komuny. I później, kiedy po okresie Solidarności, komuniści wprowadzili stan wojenny, nie wahałam się ani przez moment dalej prowadzić działalności związkowej i opozycyjnej w konspiracji. Nawet rektor przestrzegał nas przed tym, że kontynuowanie działalności w naszej szkole jest czymś zupełnie innym, groźniejszym niż działanie na innych wyższych uczelniach. WSM została zmilitaryzowana. Pomyślałam więc sobie: no trudno.

MK: Pochodzi Pani z rodziny o bardzo patriotycznych tradycjach...

EK: Mój tato, Sylwester Kielas, uczestniczył w ruchu oporu w Poznańskim i był członkiem tzw. grupy doktora Witaszka, która w ramach Związku Odwetu, pionu dywersyjno-bojowego Związku Walki Zbrojnej wykonywała wyroki śmierci wydane przez Armię Krajową na wysokich dygnitarzy niemieckich z SS, Gestapo, NSDAP szczególnie zbrodniczych wobec ludności polskiej. Mój tata, specjalnie w tym celu przeszkolony, pracował jako kelner w jednej z ówczesnych poznańskich restauracji, do której przychodzili niemieccy funkcjonariusze. Ludziom skazanym dosypywał do napojów truciznę przygotowaną przez pracownika naukowego Uniwersytetu Poznańskiego, doktora Franciszka Witaszka. Ten specyfik miał specjalny skład, który opóźniał reakcję organizmu i symulował zawał serca tak, że nie można było się zorientować, że ktoś został otruty. Grupa Witaszka w całości wpadła w ręce Niemców, a jej członkowie zostali ścięci w poznańskim więzieniu. Mój tata był już wtedy poza grupą, pracował w zakładach zbrojeniowych, gdzie dostał nowe zadanie wyznaczone przez podziemie.

Zwróciłam się do Joanny i Andrzeja Gwiazdów o możliwość współpracy z Wolnymi Związkami Zawodowymi. Byłam bardzo zdecydowana, aby pomóc w tej działalności. I w miarę moich skromnych możliwości wspomóc działania na rzecz obalenia komuny.

Aresztowany został przez gestapo, ale z zupełnie innego powodu, za kontakty z angielskimi jeńcami, którzy jeżeli się nie mylę, pracowali w jego zakładzie. Przeszedł ciężkie śledztwo i w stanie poważnym trafił do szpitala, skąd wyciągnęło go podziemie. Umknął Niemcom, ale po wojnie aresztowało go NKWD, siedział w krakowskim więzieniu na Montelupich, ale i tu miał szczęście. Tato był przedwojennym członkiem PPS i z więzienia został wyciągnięty przez partyjnego kolegę Kazimierza Rusinka, w tamtych czasach krótko ministra kultury. Oba więzienia ciężko załamały jego zdrowie i w 42. roku życia musiał przejść na rentę inwalidzką. Brutalne śledztwa i traktowanie w niemieckim i komunistycznym więzieniu doprowadziły jego zdrowie do ruiny.

MK: Jak przebiegało śledztwo w Pani sprawie?

EK: Nie było brutalne. Przez pierwszych 14 godzin usiłowano mnie przesłuchiwać *non stop* na komendzie milicji. Wiedziałam, co robić. Odmawiałam jakichkolwiek tłumaczeń. Wielu moich znajomych w podobnej sytuacji próbowało jakoś rozmawiać z SB. Zawsze źle na tym wychodzili. Nigdy nie odpowiadałam na żadne pytanie. I nigdy nie miałam dylematu, że coś powiedziałam nie tak albo za dużo. Po pewnym czasie esbecy zrozumieli, że niczego ze mnie nie wyciągną i po prostu dali mi spokój. Dlatego to śledztwo nie było tak bardzo uciążliwe. Próbowali jednak wpłynąć na mnie inaczej, wyrzucić presję psychologiczną. Sugerowali, że coś może się stać mojemu synowi. W którymś momencie w czasie przesłuchania wyprowadzili mnie na korytarz i zobaczyłam, jak przeprowadzano mojego syna, Marka Czachora, w kajdankach. A po pewnym czasie, podczas dalszego przesłuchiwania mnie, wszedł nagle jakiś funkcjonariusz i rzucił jakby od niechcenia: „Twardy ten Marek, my z nim tak ostro, a on nic”. Było to dla mnie bardzo ciężkie przeżycie, zwłaszcza, kiedy zobaczyłam syna w kajdankach. Ale cóż mogłam zrobić? I tak nie mogłam zmienić swego położenia, więc nadal milczałam. Powtarzałam sobie tylko, że takie próby zastraszenia są w repertuarze SB na porządku dziennym. Wiem, że teraz tak prosto się o tym mówi, ale wtedy to były olbrzymie dylematy i zapanować nad sobą w takich sytuacjach było niezmiernie ciężko.



Plac przy pomniku Grudnia 1970 w Gdyni (po prawej stronie widoczny jest fragment pomnika). W tle zabudowania żurawie w stoczni im. Komuny Paryskiej, 1 maja 1982 r. Fot. AIPN

MK: Proces? Pamięta Pani swoich sędziów?

EK: Oczywiście, że pamiętam. Przewodniczył komandor Andrzej Grzybowski, który już nie żyje. Towarzyszyli mu Andrzej Finke i Aleksander Głowa. Ten ostatni był do niedawna wziętym adwokatem w Gdyni. Wówczas bardzo młody, sprawiał na mnie wrażenie fanatycznego komsomolca, całkowicie podporządkowanego przewodniczącemu składowi. Finke cały czas spał. Była zima, a on pewnie był zmęczony nawałem zajęć. Miałam trzech adwokatów, dwóch załatwili mi przyjaciele, a z mecenasem Stanisławem Urbaniakiem skontaktował się bezpośrednio mój syn, który został dołączony do procesu trochę później. Ciężar obrony wziął na siebie właśnie ten adwokat. Jedynym dowodem rzeczowym w mojej sprawie była ulotka podpisana nazwiskami przeze mnie i Jurka Kowalczyka. Ulotka z protestem przeciwko stanowi wojennemu. Nasza pierwsza i jedyna działalność w podziemiu, bo po 13 grudnia i zorganizowaniu drukarni przez studentów Uniwersytetu Gdańskiego, zdołaliśmy zrobić tylko to. Ulotka ta była następnie rozrzucana na przystankach komunikacji miejskiej w Trójmieście.

Kiedy się wychodzi z więzienia i widzi się całą niesprawiedliwość i niegodziwość, która otacza człowieka – sposób, w jaki traktuje się więźniów, jak się ich pozbawia godności i robi się wszystko, żeby ich upodlić, to człowiek wychodzi naładowany energią do działania, do tego, żeby się niesprawiedliwości przeciwstawić.

Prokurator, komandor Henryk Wojcieszek, zażądał dla mnie dziewięciu lat więzienia. Według prawa wszelka działalność przed 13 grudnia objęta była abolicją, a więc nasze konto obciążało tylko i wyłącznie napisanie, wydrukowanie i rozpowszechnianie tej jednej ulotki oraz kierowanie strajkiem przeze mnie i Jurka Kowalczyka.

Sędzia Grzybowski tłumaczył później dziennikarce Wiesławie Kwiatkowskiej, skazanej w naszym procesie na 5 lat więzienia, która przeprowadziła z nim wywiad po latach, że takie polecenie dostał od dowódcy Marynarki Wojennej admirała Ludwika Janczyszyna. Sędziowie, zdawało się, nic sobie nie robili z argumentów obrony. Nie słuchali ich, rozmawiali między sobą, śmiali się, zdawało się, że w ogóle nie byli tym zainteresowani. Miałam nawet wrażenie, że opowiadają sobie jakieś dowcipy. Tak było między innymi w chwili, kiedy mecenas Urbaniak zabrał głos w naszej obronie. Nachyliłam się do niego i powiedziałam: „Panie mecenasie, przecież

nikt pana nie słucha”. Mecenas przestał mówić, zapadła cisza, po dłuższej chwili sędzia Grzybowski zorientował się jednak, że obrońca przestał mówić i powiedział: „Ależ panie mecenasie, niech pan mówi. Pan sądowi nie przeszkadza”. Dobrze zapamiętałam ten moment. Taka była atmosfera tego procesu.

Pod sąd przyszło bardzo wielu naszych znajomych, pracowników i studentów, w tym także prorektor WSM, który został wyznaczony przez rektora komisarycznego uczelni do obserwowania procesu. Wszystkich ich milicja spałowała, zapakowała do samochodów i wywiozła na komendę milicji, a następnie skierowała do Kolegium do Spraw Wykroczeń powołując się na zakaz zgromadzeń.

MK: Dziesięć lat. Drakoński wyrok, zwłaszcza dla kobiety. Myślała Pani, że przesiedzi te dziesięć lat w więzieniu?

EK: Ani przez moment nie myślałam, że spędzę w więzieniu dziesięć lat. Nie byłam jednak pewna, co z nami zrobią. Czy zostaniemy w kraju, czy wywiozą nas do Związku Sowieckiego? Zdawałam sobie jednak sprawę, że wyrok dziesięciu lat więzienia dla kobiety, działacza związkowego za jedną ulotkę i strajk – to zbyt drastyczne. Bardzo niewygodne dla władz. Myślałam też, paradoksalnie, że tak wysoki wyrok może nam pomóc, bo odbije się szerokim echem nie tylko w Polsce, ale i na świecie. I tak się też stało, na całym świecie zaczęły protestować związki zawodowe, a *Amnesty International* dokonała tak zwanej adopcji, czyli moja sprawa była na bieżąco przez nich obserwowana. Mówiły o nas zagraniczne media. Dlatego też pocieszałam naszych kolegów, że na pewno nie odsiedzimy swoich wyroków.

Nigdy nie odpowiedziałam na żadne pytanie. I nigdy nie miałam dylematu, że coś powiedziałam nie tak albo za dużo. Po pewnym czasie esbecy zrozumieli, że niczego ze mnie nie wyciągną i po prostu dali mi spokój. Dlatego to śledztwo nie było tak bardzo uciążliwe.

MK: Siedziała Pani 16 i pół miesiąca. Ile to dni? Liczyła je Pani?

EK: Wyszłam z więzienia jako ostatnia z naszego procesu. Większość moich towarzyszy została zwolniona po mniej więcej roku. Trzymano mnie dłużej z powodu napisanego przeze mnie listu otwartego z więzienia w Fordonie, w którym protestowałam przeciw propozycji Przewodniczącego Rady Państwa, Henryka Jabłońskiego, by prosić o łaskę. Podczas odsiadki dużo czytałam. Oczywiście, można było czytać tylko to, co

było w więziennej bibliotece. W Fordonie dostałam pozwolenie na to, aby rodzina przyniosła mi podręczniki i szlifowałam swój francuski. Początkowo siedziałam z więźniarkami kryminalnymi. Taki był zamysł władzy, aby nas upokorzyć i narazić na dodatkowe niebezpieczeństwa, ale to się szybko zmieniło. Nasze towarzyski z więzienia zaczęły z nami sympatyzować i przejmować nasze poglądy. Pamiętam młodą więźniarkę kryminalną, która w proteście waliła pięściami w drzwi i krzychała: „Niech żyje Solidarność!”. Władze więc szybko się zorientowały, że to nie jest dobry pomysł. Po dwóch miesiącach siedzenia w Areszcie Śledczym w Gdańsku, wywieziono mnie wraz z Wiesią Kwiatkowską do więzienia w bydgoskim Fordonie i tam po pewnym czasie posadzono nas w gronie skazanych za czyny polityczne. Odmawiano nam otwierania cel, do czego miały prawo niektóre więźniarki kryminalne. Następnie przewieziono nas do Grudziądza, więzienia dla recydywistek. To było straszne więzienie. Bez kanalizacji, zimne, przerażająco ponure. Urządziliśmy tam bunt, protestowałyśmy przeciwko panującym warunkom i przeciw temu, że czasami traktowano nas gorzej niż więźniarki kryminalne. Po sześciu tygodniach protestu przewieziono nas z powrotem do więzienia w Fordonie.

MK: Wyszła Pani w maju 1983. Natychmiast zaangażowała się Pani w działalność Solidarności Walczącej. Dlaczego właśnie SW?

EK: Powiem tak: kiedy się wychodzi z więzienia i widzi się całą niesprawiedliwość i niegodziwość, która otacza człowieka – sposób, w jaki traktuje się więźniów, jak się ich pozbawia godności i robi się wszystko, żeby ich upodlić, to człowiek wychodzi naładowany energią do działania, do tego, żeby się niesprawiedliwości przeciwstawić. Wyszłam na wolność wtedy, kiedy tak dużo ludzi jeszcze było w więzieniach. Między innymi mój przyjaciel Andrzej Gwiazda. Gdańska Regionalna Komisja Koordynacyjna nie była zainteresowana współpracą z tzw. Gwiazdobiorem, do którego należałam. I właśnie wtedy przyjechał emisariusz SW z Wrocławia, matematyk, Andrzej Zarach i spytał, czy mogłabym wesprzeć ich działania w Trójmieście. Natychmiast się na to zgodziłam. Razem z Zofią Kwiatkowską wczesną jesienią 1983 roku zaczęłyśmy działać w tej organizacji.



**Czoło manifestacji idącej w dniu 1
maja 1982 r. w Gdyni
(prawdopodobnie na ul. 10
lutego). Fot. AIPN**

MK: W maju 1988 wyemigrowała Pani do Francji? Dlaczego?

EK: Splotły się tutaj dwie okoliczności. Solidarność Walcząca chciała mieć przedstawiciela, który by koordynował działania przedstawicieli zagranicznych. Już wcześniej, w maju 1984 roku, byłam przez kilka miesięcy we Francji, gdzie udzieliłam wielu wywiadów na temat sytuacji w Polsce, bo byłam tam znana z powodu swojego wyroku. A teraz chodziło o to, żeby zdobyć pieniądze na działalność SW, bo wtedy cała pomoc z Zachodu szła do tej związkowej Solidarności, która niemal przestała funkcjonować. Przypomnę, że SW została założona w 1982 roku przez Kornela Morawieckiego, w momencie gdy kierownictwo Solidarności zaczęło się wycofywać z pracy podziemnej i myślało już o jakiejś ugodzie z komunistami. Nazwa Solidarność Walcząca pokazywała, że są ludzie, którzy chcą dokończyć zmiany zapoczątkowane w 1980 i 1981 roku: walkę o wolne związki zawodowe i wolną, demokratyczną Polskę. Namawiał mnie do tego także Jerzy Giedroyc, który chciał, aby ktoś z SW pojawił się na Zachodzie i wytłumaczył, na czym polega jej walka. Ale pewnie nigdy bym nie wyjechała, gdyby nie to, że poznałam działacza *Amnesty International* Yvesa Houée, mojego obecnego męża. Wtedy zawiązywał się nasz związek i on też chciał, żebym z nim wyjechała. Dziś myślę, że to był błąd, ponieważ mimo najlepszych starań, nie udało mi się zwrócić uwagi świata zachodniego na ten drugi nurt działań Solidarności w Polsce. Zbyt silny był na Zachodzie mit Lecha Wałęsy.

MK: Wierzyła Pani wtedy, w latach 80., że system upadnie?

EK: Nie wierzyłam, że to nastąpi tak szybko. Gdybym mogła to przypuszczać, najprawdopodobniej nigdy nie wyjechałabym z Polski.

MK: Jak Pani znajduje Polskę po 1989 roku?

EK: Bardzo kocham Polskę. I bardzo mnie współczesna Polska martwi. To, że jest tak bardzo podzielona. Nie mogę na przykład zrozumieć, że polscy europarlamentarzyści głosują w Brukseli przeciwko Polsce i chcą jej ukarania za „braki w demokracji”. Z tego powodu zachodnie media sądzą, iż w naszym kraju jest zakaz manifestacji, nie ma wolności słowa itp. Często spotykam się z tym argumentem we Francji. Gdy byliśmy z mężem w Gdańsku, poszliśmy obejrzeć manifestację KOD-u. Uczestniczyło w niej ok. 2000 osób. Manifestujący mieli całkowitą swobodę, mogli robić co chcieli. Mój mąż, który naczytał się w prasie francuskiej o tym „braku demokracji”, był zaskoczony faktem, że nikt manifestującym w niczym nie przeszkadza i że policja się tym w ogóle nie interesuje. Najwidoczniej uznano, że manifestującym nic nie grozi. Powiedział wówczas: „Gdyby to byłoby w Paryżu, to już wokół tej manifestacji stałoby ze dwa tysiące policjantów”. Dziwi mnie też brak lustracji wśród sędziów. To jest dla mnie duży zawód. Demokracja polega na tym, że uznaje się wynik wyborów, a rolą opozycji jest staranie, aby zdobyć władzę w kolejnych wyborach, a nie twierdzić, że nie ma demokracji, tylko dlatego, że to nie my jesteśmy u władzy. Tu mogę powiedzieć, że chyba nie o taką Polskę walczyłam.

MK: Dziękuję Pani za tę rozmowę.

{GALERIA:113970}

COFNIJ SIĘ